



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Doświadczenie fizyczne.

Zabawka, którą nam powyższa podaje rycina, polega na sile fizycznej znaną w nauce pod nazwą „bezwładności ciała”, której wielokrotnie podawaliśmy już opisy. Zależy tu przede wszystkim na tem, aby trzymając w jednym ręku trąbkę ze sztywnego papieru i dwie kostki od gry, jak to na obrazku widzimy, podrzucić je w górę, jedną po drugiej i następnie obiedwie z kolei do środka trąbki pochwycić. Z pierwszą kostką rzecz będzie dość łatwa, lecz drugą, rzadko kiedy uda nam się tak uchwycić, aby ta, która się już wewnątrz trąbki znajdowała, przez silne wstrząśnienie ręki, nie wyskoczyła znowu na zewnątrz, i tak zawsze będziemy mieli tylko

jedną kostkę w trąbce. Lecz jest na to sposób, i proszę go tylko zastosować, a przekonacie się, jak znakomicie jest obmyślony. Gdy już pierwszą kostkę podrzuconą do góry, pochwycimy do trąbki, nie podrzucą się drugiej, lecz szybko opuszczą rękę wraz z trąbką na dół, wypuszczając równocześnie z palcy kostkę trzymaną, tak, aby ta która jest w trąbce, niż się znajdowała od tej, którąśmy co dopiero z palcy wypuścili. Kostki spadają *wolniej* niż zdolni jesteśmy poruszyć ręką, z tego powodu, trąbka, na jedną chwilę niż się znajduje od kostek, które też łatwo wtenczas pochwycić można.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



je usiłowałem tłumaczyć Violi żem tylko żartował, żeby nie tamować jego ochoty do mówienia o przedmiocie który mnie bardzo zajmował, a który on widocznie lepiej znał odemnie.

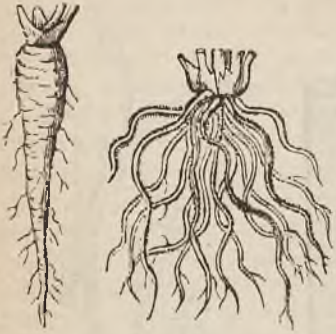
— Gdy ziarno posadzone w ziemię napełnieje i wykiełkuje — mówił dalej — pokazują się natychmiast dwie części wydatne; jedna zagłębia się w ziemię, druga kieruje się w górę: korzeń i łodyga. Załuję że nie mam nie takiego pod ręką bobym ci pokazał.

— Przypatrywałem się nieraz kiełkującym ziarnkom fasoli — wtrąciłem.

— Jakie to ciekawe, nieprawdaż? Ale może nie wiesz że korzenie bywają dwojakie.

-- Dwojakię, jakto?

— Przedłuża się korzeń i grubieje, wypuszczając z boku małe, krótkie włókienka, zwane korzonkami, jak naprzykład najpospolitsze nasze warzywa: buraki, marchew, rzepa, oraz drzewa naszych lasów i wtedy zwie się *pionowym* ; albo też korzeń składa się z licznych odnóg, prawie jednakowej grubości i takie, zwą się *wiązkowemi* czyli włókni-
 stemi, jak korzenie melonów zbóż, lilii, i palm. Ale może ty buraków i marchwi nie widziałeś inaczej jak na półmisku, a korzeniom lilii i zbóż nie przyszło ci się ni gdy na myśl przyglądać?



Korzeń pionowy i korzeń wiązkowy.

Uraziło mnie to przypuszczenie. Chciałem sprostować jego mniemanie, ale Viola

nie czekając odpowiedzi, mówił dalej.

— Sosna silnie utwierdzona w ziemi przez zakorzenienie głębokie, stawia czoło najgwałtowniejszym uraganom, a palmę której korzenie wiązkowe płytko i poziomo rozkładają się w piasku, z łatwością wiatr obala.

— Ze korzeniom przypatrywałem się nietylko na półmisku — odezwałem się korzystając z chwilowej przerwy — niech cię to przekona, że wiem iż między nimi są takie, które nie służą do utwierdzenia rośliny w ziemi, ale pływają po wodzie, jak naprzykład korzenie rzęsy wodnej, którym miałem sposobność do syta się napatrzeć, mieszkając na wsi.

I przypomniawszy sobie niektóre rzeczy zasłyszane od Astragalusa, mianowicie co mówił o pasożytach, powiedziałem chcąc zaimponować Violi memi wiadomościami.

— Wiem też o takich, które ciągną żywność w tkance innych roślin.

— Ach, mówisz pewnie o korzeniach jemioly tworzącej ładne zielone krzaczkę kępiaste, na jabłoniach, topolach, sosnach i innych drzewach — zawołał nie zgadując mojej intencji — To także zadziwiający i bardzo ciekawy.

Wyraz zamyslenia i powagi rozlał się po jego twarzy, czyniąc go starszym niż był naprawdę.

— Zastanawiam się nieraz nad tēm, jak to z każdego krzaczka, z każdego źdźbła trawy, mądrość Boża wygląda. Części składowe gruntu są różne w różnych stronach naszego globu: aby więc wszystkie miejsca mogły być roślinnością pokryte, Bóg dobry dla każdego gruntu inne stworzył rośliny i nadał korzeniom rozmaitej formę. Dla roślin mających żyć na wyniosłych górach, pośród skał lub między głazami, dał korzenie twarde, drzewiaste, rozgałęzione na silne i kręte odnogi, rozdzielone na liczne gałązki i włókienka; a dla gruntów miękkich i przepuszczalnych, korzenie proste, pionowe, idące w ziemię głęboko. A jakim ten dobry Bóg cudownym instyktym, opatrzył owe brunatne, niepozorne ślepe korzonki! Powstrzymywane w swym pochodzie, rozwijają nieraz zadziwiający siłę mechaniczną i przewyciężają wszelkie przeszkody. Umieją one radzić sobie w każdym położeniu, i stosują kierunek odpowiednio do tego czy natrafiły na ziemię wilgotną, czy suchą, ścisłą czy lekką, piaszczystą czy kamienistą. Jeśli im jest dobrze, to roztropnie skupiają swe włókna w kępy; ale zgadnij co robią, jeżeli miejsce na którym roślina zamieszkała, jest dla niej niedogodne, jeżeli grunt zbyt jałowy a wody niema w blizkości.

— Hm, cóż one zrobić mogą — wyszeptalem — chorują zapewne i umierają.

— Ale gdzież tam! zanim do tego przyjdzie, próbują wprzód wszelkich środków zaradczych i zwykle skutecznie. Korzeń wydłuża się do niesłychanych rozmiarów, szukając pożywniejszego dla rośliny gruntu, lub idąc za biegiem strumyka!

Słuchałem słów Violi z przejęciem, myśląc że podobnie

dzieje się z ludźmi: gdy im się nie powodzi w jednym miejscu, szukają polepszenia losu gdzieindziej.

— Coby też to było — spytałem — gdyby kto roślinie chciał się sprzeciwić i odwrócić ją do góry nogami? Chciałbym wiedzieć jakby sobie poradziła w tym razie!

— Królewicz tego próbował: korzonek i łodyżka odwróciły się także i jedno zagłębiło się w ziemię, a drugie skierowało ku niebu. Dowód to jak silna jest w korzeniu dążność do zagłębiania się w ziemię.

— Wiedziałem ja zawsze, że życie rośliny, bardzo jest zależne od korzenia — odezwałem się znowu — ale sądzę że niemniej od niego znaczy łodyga, bo ona wzięta razem z gałęziami i liśćmi, daleko więcej miejsca zajmuje w powietrzu, niż korzenie w ziemi.

— O tak, łodyga ma wielkie znaczenie — odrzekł Viola. — Czy uważałeś, że każda w pewnych odstępach posiada tak zwane „węzły życia”, czyli oczka z których wyrastają liście i wypustki; ona dźwiga na sobie konary, gałęzie, liście i kwiaty; przez jej tkankę soki wysane z ziemi drobnymi włókienkami korzeniowemi, przenikają do wnętrza rośliny.

— Węzły życia... — powtórzyłem zamyślony — bardzo słusznie tak nazwano miejsca z których życie wytryska.

— A gdybyś wiedział jaka jest różnaitość między łodygami! Jedne wnoszą się prosto i sztywno, inne wężle, nie mają dość siły aby się utrzymać w pionowym kierunku; rozpościerają się na ziemi, pogięte i rozwleczone, podnosząc tylko część przednią, podobne tem do robaka który pełzając podnosi głowę. Inne jeszcze, leżąc przyczepiają się do ziemi za pomocą korzeni przybyszowych, a jeszcze inne czepiają się różnych przedmiotów, wpijają w nie brodawki lub haczykowate korzonki, jak bluszcz, i albo bójają w powietrzu, albo szukając podpory, okręcają się około drzew jak chmiel lub powój. Wijące, wiją się zawsze w jedną stronę, i jeżeli chcieć im się sprzeciwić, stawiają opór. Powoje i fasole idą zawsze od prawej ku lewej stronie, chmiel przeciwnie, od lewej ku prawej. Przyszła mi raz ochota zrobić im figla. Odkręciłem z tyczki fasole i owinąłem ją na odwrót, ale wróciła do poprzedniego kierunku. Powtórzyłem próbę kilka razy na innych, i zawsze skutek był jednakowy.

— Biedna roślina — odezwałem się — jak ona się musiała zmęczyć, ile wysileń zrobić, żeby twój figiel naprawić! Jabym się jej nie sprzeciwił.

— Nie zrobiłem tego przez złośliwą chęć dokuczania — odrzekł Viola — ale chciałem się przekonać do jakiego też stopnia dochodzi jej wytrwałość. Królewicz Zielonko ma w swych ogrodach wiszących, na tarasach geograficznych, przepyszne płatorośle amerykańskie: Jedne z nich zwieszają się w festonach, drugie kołyszą się niby wstęgi, inne wiją się jak węże między drzewami, przerzucając się z jednego na drugie i tworzą taką płatanię liści i kwiatów, że gdy patrzysz na nie, trudno rozpoznać co do której rośliny należy. W naszych klimatach, bluszcz, powojnik i wiciokrzew, zastępują na małą miarę te płatorośle amerykańskie. W objętości i wysokości łodygi, jest też różnaitość ogromna: pnie drzew niektórych dochodzą do potwornych rozmiarów, a łodyżki niektórych roślinek wiosennych, zaledwie w grubości nitce wyrównywają. W trwałości ich też jest różnica: jedne z tkanką mocną, ścisłą, trwają lata całe, te królewicz zowie *drzewiastemi* ; inne, miękkie, żyjące po roku, dwa i więcej, *zielnemi* ; a jeszcze inne mające tkankę rzadką, obfitym wodnistym sokiem napełnioną, *mięsistemi* .

— Słyszałem o łodygach podziemnych, ale nie wiem jak to rozumieć. Co się znajduje pod ziemią, to jest już korzeniem.

— Tak myślałeś? ach, mój drogi, myliłeś się bardzo! Kosańce, turzyca i wiele innych roślin, mają łodygi podziemne, mylnie przez nieświadomych uważane za korzenie. Człgają się one pod ziemią jak złoczyńcy, jak duchy, w kierunku ukośnym lub poziomym, i wegetują końcem przednim, podczas gdy część tylna, niszczyje zwolna skutkiem wieku.

— Czemże jest cebula? — spytałem.

— Cebula? Cebula jest także łodyżką podziemną.

— Jakto! nie jest korzeniem?

— Broń Boże! Włókna korzonkowe wychodzą właśnie z jej części dolnej.

— W takim razie każdy gatunek łodygi powinienby się inaczej nazywać.

— Tak też jest: łodyga drzew naszych lasów, nazywa się *pnieniem*; łodyga palm i paproci drzewiastych, podobna do kolumny uwieńczonej liściastym nadgłówkiem, nazywa się *stłupcem*; łodyga traw walcowata, prawie zawsze wydrążona i mająca w odstępach kolanka z których wyrastają liście, zowie się *żdźbłem*; wreszcie łodyga grzybów, *trzonem*.

— Pień, słupiec, źdźbło i trzon — powtarzałem sobie w myśli — będę pamiętał; dziękuję ci.

— Królewicz Pióropuszek utrzymuje, że człowiek bardzo wiele może nauczyć się od zwierząt; królewicz Zielonko mówi to samo o roślinach, a twoje zdanie Janku, jakie? Który z nich ma rację?

— Oba — odpowiedziałem. — Rośliny i zwierzęta w wielu razach mogą być dla nas przykładem, a nie wątpię że i z minerałów możnaby nie jedną naukę wyciągnąć. Z tego co tu słyszałem od ciebie o korzeniu i łodydze, wnoszę, że człowiek nie powinien ani jak rześa wodna pływać na powierzchni życia; ani żyć pasożytnie jak jemiola na innych drzewach, ani rozkładać płytko korzeni jak palma, ale jak sosna silnie utwierdzona w ziemi, stać prosto, mocno, sięgać ku niebu wysoko i jak ona stawiać czoło najgwałtowniejszym wichrom i burzom.

Oczy Violi błysnęły wzruszeniem: łagodne i głębokie, przypominały bratki.

— Ja to sobie nieraz myślałem — powiedział — tylko nie umiałem tak gładko i jasno wypowiedzieć. Wyjąłeś mi je z głowy, a raczej z serca... a ponieważ myśli nasze zgadzają się z sobą, bądźmy przyjaciółmi!

Podaliśmy sobie ręce i uścisnęli się serdecznie. Tak rozmawiając nie zauważyliśmy nawet, że przestrzeń dzieląca Różany gaj od Koralonego grodu skracala się coraz bardziej. Przestrzeń to była jednak znaczna, czułem ją po moich nogach, dobrze już zmordowanych, ale opowiadanie Violi i tysiączne przedmioty pociągające mój wzrok, tak mnie zajmowały, że prawie nie wiedział jak czas przeszedł. Gdy pałac Pióropuszka, ten klejnot prawdziwy, zabłysnął czerwonymi ścianami, Viola pożegnał mnie, mówiąc:

— Teraz już trafisz z łatwością; ja muszę wracać, bo przed południem jeszcze mam towarzyszyć królewiczowej do chorego cudzoziemca, którym się ze szczególną troskliwością opiekuje i którego leczy.

Słowa te zbudziły we mnie znowu cały szereg myśli i wspomnień, i jak niedawno przy posągu Bożydara, przypomniło mi się wszystko co pisał o tym obcym człowieku Abrokadabrus: Eucalyptus posłany mu przez królewicza, Elodea kanadyjska mająca oczyścić jego moczary, podarunek przysłany przez niego Zielonce... Zobaczyłem go oczyma duszy płynącego łodzią pod balkon mistrza i posłyszałem pieśń którą śpiewał, a pragnienie ujrzania go wzrastało w mój piersi ciągle. Jakaś tajemnicza siła z której nie umiałem zdać sobie sprawy, ciągnęła mnie ku niemu.

Od chwili rozstania się z Violą, szedłem ciągle wybrzeżem morskiem, pod cieniem kończącego się tutaj świerkowego lasu. Widać stąd było wspaniałą zatokę: stały w niej na kotwicy dwa okręty z powiewającymi na nich flagami Pióropuszka, czarnym sokołem w zielonym polu i jeden z banderą cudzoziemską, a dalej kołysało się kilka łodzi rybackich. Słońce południowe rzucało wprost na morze swe blaski, a woda fałdująca się w drobną łuskę błyszczała tak olśniewająco, że trudno było na nią patrzeć. Zmęczenie czułem nie tylko w nogach ale i w piersiach; siadłem więc w cieniu drzew na murawie żeby odpocząć, a szkatułkę z wonnemi klejnotami postawiłem przy sobie. Oczy moje utonęły z rozkoszą w cudownym krajobrazie i znowu na myśli stanęła mi owa noc

ciepła, gwiazdzista wśród której płynęła po falach pieśń cudzoziemca i serce mi uderzyło.

— Co to jest? Co to znaczy? Dla czego serce rzuca mi się w piersiach na samą myśl o nim? Co mnie może obchodzić ten człowiek? Czemu on jest dla mnie?

Ile razy się zmęczę, zaraz kaszlę, teraz też porwał mnie kaszel i trzymał kilka minut. Widząc poza sobą małą wyniosłość, zdjąłem swoje średniowieczne nakrycie głowy i wyciągnąłem się jak długi. Teraz oczy moje błądziły po mchach różnobarwnych, po trawce której łodygę Viola nazywał źdźbłem, po ciemnych porostach okrywających kamienie i po delikatnych liściach paproci, aż natrafiły na przedmiot od których już oderwać się nie chciały. Przedmiot ten pochłonął całą moją uwagę, wyrugowawszy inne myśli, a była nim żywa istota. Zielona, czarno nakrapiana, siedziała nieruchoma na liściu podbiału, o trzy kroki odemnie, i patrzyła na mnie dużymi wypukłymi oczyma. O trzy kroki tylko, ona dla której Tygrys z rozpaczą w sercu pojechał napowrót do Afryki, wyrzekając się powitania rodzinnej ziemi — ona, za którą tęsknił i o której miesiące całe marzył Pióropuszek! I jaż byłbym tym szczęśliwcem znajdującym ją na swój drodze, gdy inni szukali jej na krańcach świata? Nie, to nie może być, to chyba omyłka! Gdyby żaby latające mieszkaly na wyspie Atlancie, królewicz wiedziałby coś o tem. To nie może być ona, chyba jaka blizka jej krewna, bardzo do niej podobna. Ach, gdyby chciała się poruszyć, gdybym mógł sprawdzić czy niebieskawe brodawki pokrywają jej nogi, i czy tylne połączone są błoną! Widziałem ją raz tylko na pokładzie Mewy, ale jej powierzchowność utkwiała mi dokładnie w pamięci...

Ona się nie poruszała, ja także byłem nieruchomy jak głaz, obawiając się ją spłoszyć. I widocznie wzięła mnie za martwy przedmiot różniący się tylko formą od głazów, a moje ubranie za pokrywający mnie ciemny porost, bo przeskoczyła na inny liść, bliższy mnie jeszcze. O radości! to była ona, nie omyliłem się! Dowodziło tego niebieskawe zabarwienie nóg i błony łączącej jej palce. Ale jak ją pochwyć? Uda wałem dalej nieruchomego i żaba podskoczyła jeszcze raz, tak blisko że mogłem ją ręką dosięgnąć. Wówczas szybkim, nagłym jak błyskawica ruchem, nakryłem ją moją czapeczką. Pod ręką ucułem drgnienie schwytaną, miałem ją! Podniosłem się teraz na kolana, zebrałem ostrożnie aksamit czapeczki, niby woreczek i trzymając ją tak prawą ręką, lewą otworzyłem szkatułkę z klejnotami i wpuściłem tam żabę — poczem zamknąłem natychmiast i kluczyk włożyłem do kieszeni. Nie bałem się jej udusić, bo w szkatułce były po bokach małe otwory dla przewiewu powietrza — kwiaty bowiem potrzebu ją także oddychać.

— No — pomyślałem, odetchnawszy — nie spodziewałaś się nigdy dostojna żabo, że spoczywać będziesz na tak wspaniałej i wonnej pościeli! W swojej ojczyźnie nie widziałas pewnie nic podobnego.

Zapomniałem o mojem zmęczeniu i zerwawszy się, szedłem szybszym niż dotąd krokiem ku pałacowi, niosąc podwójnie teraz cenną szkatułkę, z której leciutki szmer mię dochodził. Zachodziłem w głowę, jakim sposobem ta znakomita żaba znalazła się w miejscu gdzie odpoczywałem, skoro zginęła w czasie burzy morskiej i jakim to cudem się działo, iż Pióropuszek nic nie wiedział, że ona znajduje się tak blisko niego — w końcu doszedłem do wniosków następujących. Żaba w czasie burzy nie zginęła z kajuty Tygrysa, tylko gdy wskutek gwałtownego kołysania się okrętu, przewróciła się czara będąca jej mieszkaniem, uwolniona tak niespodziewanie z więzienia, ukryła się chwilowo w jakim kącie — a ponieważ żaby ciągną zawsze do wilgoci, więc szukając tej wilgoci trafiła do klatki jaszczurki rogatej i tam się ukryła, wśród ziemi mokrej i trawy, bo szczeble klatki były rzadkie i łatwe dla niej do przebycia. Rzecz naturalna że Tygrys szukający jej wszędzie i nie domyślający się schronienia tej damy, nigdzie jej nie znalazł. Potem dostała się wraz z jaszczurką na pokład Narcyza i gdy Tamarix zarzuciwszy kotwicę w zatoce Koralonego grodu, zdawał powierzony sobie ładunek, żaba albo wyskoczyła przy przenoszeniu klatki, albo też wyrzucona

została z trawą i innym nieużytecznym zielskim spód klatki wyściełającym, i zawędrowała do świerkowego gaju, gdzie między wilgotnymi, porośniętymi mchem kamieniami i w sąsiedztwie strumieni, było jęj bardzo dobrze. Tak być musiało, nie inaczej.

Na stopniach pałacu stał Pióropuszek; poznałem go po rycerskiej postawie i twarzy marsowej, jak go opisywał w listach swych Abrakadabrus. Patrzył przez lunetę na morze. Czego on tam upatrywał? Może chciał się przekonać, czy Mewa nie powraca, wioząc mu upragnionego gościa? Pewnie tak było, bo stojąca obok niego królewiczowa Perelka, spoglądała nań z jakimś wesołym, żartobliwym uśmiechem.

Wszedłem na stopnie i złożywszy głęboki ukłon, podałem królewiczowej szkatułkę wraz z kluczykiem. Perelka przyjęła ją z wdzięcznym uśmiechem, otworzyła zaraz, zapuściła w nią swoje białe ręce i cofnęła je natychmiast z okrzykiem. Królewicz odwrócił się z żywością, spojrział i oniemiał. Patrzył, patrzył, patrzył nie dowierzając własnym oczom, nareszcie zawołał tonem radosnego tryumfu:

— Rhacophorus Rheinwardti!

Żaba siedziała nieruchoma, bądź to odurzona wonią kwiatów w szkatułce, bądź przerażona nagłem jęj uwięzieniem albo widokiem kilku naraz osób. Klejnoty, owe prawdziwe arcydzieła sztuki jubilerskiej, zostały zapomniane, żaba zajęła wszystkich! Zbiegł się cały dwór, dziwiąc się, przypatrując, chwalać. Żaba stała się nagle na tym dworze „persona gratissima”, której względy wszyscy pragnęli sobie zjednać. Przyniesiono na noszach jedwabną makatę okrytych, dużą złotą klatkę i posadziwszy w niej z szacunkiem żabę na zielonym aksamicie, przeniesiono uroczyście do stawów w których miała zająć mieszkanie. Stojąc na najwyższym stopniu schodów, patrzyłem zdala na ten pochód, któremu dziwić się musiała także sama żaba, siedząca niby w palankinie i niesiona na czele pochodu, jak królowa idąca w tryumfie na objęcie królestwa. Sam marszałek dworu trzymał nad nią parasol.

Zostałem sam, rozmyślając nad tem dziwnem zdarzeniem i mówiłem sobie, że gdyby w królestwie zwierząt wybuchło nagle powstanie i Pióropuszek zrzucony został z tronu, to ci co się dziś żabie kłaniają, wyrzucili by ją pewnie z palankinu, a „persona gratissima” poznałaby co to jest zmienność losu... Spoglądałem z żalem na szkatułkę z zapomnianymi klejnotami i nie chciałem aby zwiędły na słońcu, przymknąłem ją. Upłynęło pół godziny, a nikt nie przychodził, nareszcie zjawił się paź po szkatułkę i mówił do mnie coś po atlantyjsku, ale pokazałem mu na migi że nie rozumiem, więc powiedział po francuzku że mam oświadczyć królewiczowi Zielonce, iż królewicz Pióropuszek przybędzie dziś sam do Różanego gaju, dla podziękowania królewskiemu bratu.

(d. c. n.)

OBRAZKI Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

I.

Dolina Nazaretu.

Wśród rozległej, wzgórzystej, pokrytej bujną roślinnością okolicy, widzimy kościół i miasteczko w malowniczym położeniu na stoku góry. Jeden rzut oka przekonywa, że patrzymy na krajobraz wschodni, bo wielbłądy użyte tu są do pracy rolnęj, jako zwierzęta domowe, a kaktusy olbrzymie lubo tegoż samego gatunku jak nasze doniczkowe, rosną dziko i gęsto, tworząc żywopłoty. Kobiety w miejscowych obszer-nych szatach obyczajem wschodnim, niosą na głowach naczy-nia gospodarskie. W tej to zacisznej kwiecistej dolinie Naza-retu zamieszkał Jezus dziecięcim, po powrocie z Egiptu, „wzrastając w lata i mądrość Bożą”. Dziś jest to miasteczko schludne i zaciszne, mające około 6,000 mieszkańców po więk-szej części mahometańskiego wyznania, niewielką zaś liczbę

chrześcijan. Trzeba wszakże oddać tę sprawiedliwość Turkom że szanują tradycje chrześcijańskie i miejsca niemi uświęcone. Katolicy mają tu kościół pod wezwaniem Nawiedzenia.

NA ZAMKU WIESZCZKI.

Jeden ze znakomych współczesnych obcych powie-ściopisarzy opowiadał, iż pewnego razu otrzymał miłościwe zaproszenie wieszczki, aby ją odwiedził w jęj zamku.

U stóp gór niebotycznych — mówi — pośród gęstęj kniei, kędy dźwięki wojskowych tręb i myśliwskich rogów mię-szają się z szumem odwiecznych sosen, znajduje się ten zamek wieszczki, zamek pełen cudnych malowideł i rzeźb, starych wiezo i rzadkich pamiątek, drogocennych gobelinów i kosztow-nych kobierców, mebli przepysznych i wspaniałych zwiercia-deł weneckich. Do rezydencyi tej przybyłem jesienią, popo-łudniu. W blaskach zachodzącego słońca, okna zamku wy-śladawały się, jakgdyby ze szkieleł różnokolorowych, a mury niby wysadzone złotem i rubinami. Przechodząc przez długi sze-reg olbrzymich sal, spotykałem poważne damy i wojskowych, młodzieńkie dziewice i paziów zajętych wesołą rozmową. Wreszcie otwarto przedemną rzeźbione podwoje, uchylono ciężką adamaszkową portyereę i wprowadzony zostałem do pokoju, który wieszczka swoją pracownią nazywa. Pokój to duży, z widokiem na piętrzące się w oddali szczyty gór. Przez otwarte okna gałęzie starych sosen zagładają, a woń żywicy i pachnących leśnych zioł napływa do wnętrza pokoju. Na jednę ścianie wisi portret króla, męża wieszczki; drugą zaj-muje wielki obraz francuzkiego malarza Delacroix, przedsta-wiający złożenie do grobu Chrystusa.

Zastałem wieszczkę przy stalugach. Na pergaminie złotem i kolorami malowała karty wspaniałego mszału. Obok nięj młode, piękne, ciemnowłose panny na materyi, o pło-wych, staroświeckich barwach, haftowały jedwabiami wieńce, z fantastycznych kwiatów i liści, piękne panny były w jasnych, od złota lśniących strojach. Wieszczka miała długą, białą, srebrnem haftowaną suknią. Biały przezroczysty, w srebrne gwiazdki usiany welon, w miękich fałdach spadał od czoła do drobnych jęj stópek.

Gdy wszedł, powitała mnie bardzo łaskawie, wyraża-jąc życzenie, abym dłużej w gościnie u nięj pozostał. Nigdy w życiu nie otrzymałem dotąd miłszego nad ten rozkaz! przez cały czas pobytu mego w królestwie wieszczki, w jęj zamku, ciągle mi się zdawało, że przebywam w lepszym, doskonalszym świecie.

Wieszczkę otaczało zawsze kilka młodych panien, zmie-niających się co parę godzin. Gdy jedna z tych panienek wyszła, natychmiast z poza portyery wysuwała się inna. Zło-żywszy dworski, głęboki ukłon, zbliżała się cichutko po mię-kim jak puch, barwistym kobiercu i całowała ręce królowej. Niektóre kękały u jęj stóp i opierały głowę na jęj kolanach, a wieszczka tuląc je do siebie z macierzyńską troskliwością, mawiała: „to są moje córki”. Nieopisaną dobrocią, a zara-żem niewymównym smutkiem brzmiał głos wieszczki wyma-wiającej te słowa: „moje córki”...

Do najmilszych wspomnień z mego pobytu na zamku wieszczki, zaliczam wycieczki do lasu. Zwykle o godzinie dziewiętej z rana do drzwi mego pokoju pukał marszałek pa-łacowy, oznajmiając że wieszczka już wychodzi na przechadz-kę. Co tchu zbiegałem po wspaniałych wschodach zaślanych perskimi dywanami. Zastawałem zazwyczaj wieszczkę na tarasie zamkowym. Ubraną zwykle była w białą korcikovą suknię. Towarzyszące jęj damy i panienci, zamiast wscho-dnich strojów, które nosiły w pałacu, miały na sobie ubrania tegoczesne bardzo skromne.

Wrześniowe poranki bywały przepysznie pogodne, lecz chłodne. Ten przejmujący chłód i kropelki zamarznętej ro-sy, błyszczące wśród zieleni liści i trawników, dziwną stanowi-



DOLINA NAZARETU.

ły sprzeczność, z cudnym błękitem nieba, właściwym krainom Wschodu. Słońce świeciło jaśniej i weseliej niż u nas, a cały orszak wieszczki ścieżkami wysypanemi zwirem, podążał w gestwinę olbrzymich sosen.

Daleko od zamku, gdzie las zaczyna się przerzedzać, znajduje się pałacyk strzelecki, pełen skór niedźwiedzi, rogów bawolich i łosich, wypchanych głów jeleni i dzików. Tam odpoczywaliśmy i tam wieszczka czytywała nam swoje piękne, do druku przeznaczone utwory. Stuletnie drzewa otaczające dokoła pałacyk, rzucały cienie na rzeźbione ściany sali, w której siedzieliśmy; z głosem wieszczki mieszał się szmer spływającego z gór strumyka. Często w tych spacerach towarzyszył nam król, mąż wieszczki, mężczyzna o rysach szlachealnych i regularnych, nadzwyczaj łatwy, ujmujący w obejściu z otaczającymi. I obejście panierek z wieszczką nie ma w sobie nic ze sztywniej etykiety dworskiej: jest serdeczne, tkliwe, poufale, jakgdyby istotnie były jej córkami. Pewnego razu wieszczka rozłożywszy rękopis, sięgnęła po lornetkę zatknętą za pasek i przytwierdzoną agrafą z brylantów przepysznych, jakie tylko monarchowie posiadać mogą. W tej chwili paniarki otoczyły wieszczkę: „nie pozwalamy — wołały chórem — aby wasza królewska mość zakrywała oczy! W tych szklach bardzo nieładnie najjaśniejszej pani!” — Jedna figlarka ze śmiałością rozpieszczonej córeczki odpięła lornetkę. Przeczytawszy parę stronic, wieszczka spojrzała smutno na figlarną paniarkę.

— Moje dziecię — rzekła słodkim głosem — naprawdę nie mogę czytać bez szkieł; oddaj mi je, proszę!

Przedpołudniowe godziny wieszczka zwykle poświęca literackiej pracy. Resztę dnia w towarzystwie dostojnych i znakomych gości i ze swemi „córkami” przepędza, podczas rozmowy zajmując się malowaniem, lub haftem. Wieczorem cały dwór i goście zbierają się w koncertowej sali. Olbrzymie żyrandole rzucają światło na cudnie malowane okna i plafony sali, gdzie wieszczka gra na organach. Gra przepiękne melodye, uroczyste, poważne, wspaniałe, dziwne smutne! Oczy grającej nierządno wówczas zamglą się łzami; na jej obliczu beznamiętny smutek osiada... Bo wieszczka obsypana wszystkimi darami jakimi los wybranych swoich zwykł obdarzać, przecież nie jest szczęśliwą... Ciężką boleść przed ludźmi, w głębi serca swego ukrywa, lecz o nią zapomnieć nie może. Matka, nie może zapomnieć że Bogu podobało się zabrać do Siebie, jej śliczną, jedyną, ukochaną córeczkę. W parku otaczającym rezydencję wieszczki znajduje się mauzoleum, czyli nagrobek maleńkiej księżniczki. Rzeźba z białego marmuru przedstawia uśpioną dziecinę, z cudną, anielską twarzą. Główka dzieciny spoczywa na marmurowym wezgłowiu, na którym wyryte są słowa: „Nie płaczcie, ona nie umarła, lecz zasnęła”. — „Nie płaczcie! a jednak... nie przestaje łez ronić matka dzieciny uśpionej snem, z którego już nie obudzi się na tej ziemi”. „Dom bez dzieci, jest pusty, ni by dzwon bez serca”, mawia często wieszczka do swoich przyjaciół. A więc wspaniałe rezydencje wydają się jej pustkami! więc pośród królów, poetów, artystów żyjąca, licznym orszakiem dworzan otoczona, czuje się smutną i samotną, odkąd jej córeczka odeszła do nieba... Biedna wieszczka! jej boleść ukrytą zdradza uśmiech pełen rezygnacji i włosy bujne, ubielone szronem przedwczesnej siwizny: Biedna wieszczka!

Ale komuż to ów pisarz miano *wieszczki* nadaje?... Jakie jest rzeczywiste nazwisko tej królowej i pisarki razem?... tej wszechstronnie uzdolnionej niewiasty, która jednak potrafi zniżyć się do umysłów maluczki i przez kilka tygodni w Sylt *) drobną dziawę zabawiać opowiadaniem ślicznych bajeczek i powiastek?... Urodzona w środkowej Europie, a monarchini na Wschodzie, prawie wszystkie europejskie języki zna i włada niemi biegle ustnie i piórem, jej starania powołały do życia literaturę narodu, nad którym panuje. Więc jej szczegółów o tej niezwykłej kobiecie nie dodaję, bo i z tego co już powiedziałam można

odgadnąć że jest to Elżbieta królowa Rumunii, pisząca pod pseudonimem „Carmen Sylwa.”

A teraz kiedy już wiadome wam imię wieszczki, możemy jeszcze o niej samęj i o ziemi nad którą panuje, pogawędzić trochę. Księżniczka Elżbieta Wied *) otrzymała bardzo staranne wychowanie. Umysłowe jej wykształcenie uzupełniły podróże po Europie, pobyt w Paryżu, w Londynie, w Sztokholmie, na dworze ciotki królowej szwedzkiej. W każdej z tych stolic najznakomitsi mężowie nauki, rozwijali wrodzone zdolności księżniczki Elżbiety, w rozmaitych kierunkach. Z tej przyczyny Carmen Sylwa równie dobrą jest pisarką jak malarką i muzyką, a przytem nie gardzi zajęciami właściwemi swęj płci: żadna z robót niewieściich nie jest jej obcą. W r. 1869 poślubiła Karola Hohenzollerna, który od r. 1866 powołany został na tron Rumunii i tam najpierw panował jako książę; obecnie nosi tytuł króla.

Młodzianka księżna przybywszy do Rumunii niezupełnie jeszcze spokojnej, po strasznych wstrząśnieniach politycznych, patrzyła na wiele nieszczęść, łez, smutków. Zrozpaczone wdowy, strapione matki, opuszczone sieroty garnęły się pod opiekę Elżbiety, a ona nie odrzuciła nikogo, pocieszała cierpiących, godziła zwaśnionych, przebaczała występny; wyrozumiała i pełna współczucia dla nędzy wszelkiej, nie zraża się niewdzięcznością, co właśnie stanowi najpiękniejszą stronę jej charakteru.

Panny z orszaku Elżbiety rumuńskiej z małym wyjątkiem wszystkie są sierotami. Królowa usiłuje zatrzeć w ich sercu gorzkie i bolesne uczucie sieroctwa. Dając im słodkie miano „córek“ nie szczędi macierzyńskich pieszczoł. Wszystkie też kochają królowę jak matkę. Opuszczając dwór po wyjściu zamąż, nie przestają kochać swojej opiekunki.

Zimę w Bukareszcie przepędzają królestwo rumuńscy, lato na zamku w Sinaia. Tam zdała od zgiełku stolicy i etykiety dworskiej, Carmen Sylwa, oddaje się przeważnie ulubionym swoim pracom literackim. Do Sinaia ukoronowana autorka zaprasza znakomych pisarzy i artystów. Niedawno pożar, wielkie spustoszenie zrobił w Sinaia; lecz zapewne królowa Elżbieta, ulubioną swą letnią rezydencję odrestaurować każe i na nowo arcydziełami sztuki ją ozdobi.

Rumunowie pochodzą od starożytnych Daków. Pierwotnie potężne i niepodległe państwo, następnie stanowiło prowincję rzymską, później bułgarską i bizantyjską.

Dzieje teraźniejszej Rumunii utworzonej z Wołoszczyzny, Multan i Mołdawii zaczynają się w r. 1859 od wyboru na księcia pułkownika Cousa, który w r. 1866 abdykował, a po nim objął koronę i rządy Karol Hohenzollern, do dziś dnia panujący.

Powierzchnia Rumunii po większej części dość płaska. grunt urodzajny, zajęty przeważnie pod uprawę zboża, kukurydzy i t. p. Są w Rumunii kopalnie soli kamiennęj, saletry, oleju skalnego.

Język rumuński należy do tak zwanych języków *romanjskich*, to jest tych, które pomiędzy X a XIII wiekiem powstały z pomieszczenia się łaciny z narzeczeniami miejscowemi. Używany jest również w niektórych okolicach Węgier, Siedmiogrodu, Besarabii. W ostatnich czasach na rozbudzenie ruchu literackiego w Rumunii, przeważnie nawet głównie wpłynęła królowa Elżbieta. Ona to zajęła się zebraniem podań, legend ludowych, pieśni rumuńskich.

Z pomiędzy nielicznych pracowników na literackiej niwie w Rumunii, Assaki, Negri, Sion, poeci liryczni, Aleksandresen poeta dydaktyczny, Aleksandri satyryk zasługują na wzmiankę. Rodziny talentów pisarskich niewiele jeszcze w Rumunii, natomiast pojawiają się liczne przekłady z literatury zagranicznej.

Halina Tokarczewska.

*) Wied niegdyś udzielił hrabstwo w Westfalii. Od roku 1462 rozdzielone na dwa hrabstwa. Wied-Rundel nad rzeką Lahn 4 mile kw. i Newied 11 mil kw. w r. 1824 znów połączone. Maksymilian Aleksander, Filip książę von Wied w pierwszej połowie naszego stulecia wydał bardzo ciekawe wspomnienia z podróży swoich po Ameryce.

*) Sylt wyspa na morzu Północnem, w bliskości brzegów Szleswigu, 4 mile długa 2 mile szeroka, poławiają tu ostrygi a pod wioską Westerland są kąpiele morskie.

BRYŁA MARMURU.

Fidyasz, grecki rzeźbiarz, z geniuszu znany,
 Czerpiąc boskie natchnienie z niebiosów lazuru,
 Siedział w pracowni swojej w myślach pogrążony
 I wpatrywał się w bryłę białego marmuru.
 W pracowni mistrza było cicho jak w świątyni
 Bo mistrz marzył o sławnej mądrości bogini
 Trzymając cyrkiel w dłoni, mierzył bryłę całą,
 By niebawem swą pracę rozpocząć już śmiało.
 A gdy długo i pilnie cały marmur zbadał,
 Porwawszy w rękę młotek, pierwszy nim cios zadał
 I nie ustał w swój pracy mistrz pełen zapału,
 By nadać bryle kształty swego ideału.
 Za każdym nowym ciosem, marmurowa bryła
 Na nieczułość człowieka gorzko się skarżyła,
 Aż mistrz z bryły kamienia niezbyt miłej oku,
 Wykończył wreszcie posąg tak pełen uroku,
 Iż wzruszony i marmur pytał: z kąd się wzięło
 Ze mistrz z bezkształtnej bryły stworzył arcydzieło?
 Podziwiali je znawcy w najwyższym zachwycie,
 Wielbiąc mistrza, co w kamień tchnął Minerwy życie.
 Nie narzekał już marmur na swe dawne losy,
 Pojął iż mu na dobre wyszły mistrza ciosy!...

Otóż dziecko, syn sercu ojca drogi, miły,
 Podobnym często bywa do marmuru bryły,
 Gdy ojciec dobrze syna wychować się stara,
 Wykorzeniać się musi nie jedna przywara,
 Zali się syn, że ojciec nieraz mu dokuczy,
 Choć ojciec karząc syna, rozum go uczy;
 Lecz z czasem gdy syn wieku starszego doczeka,
 Rad że ojciec surowy zrobił zeń człowieka!...

T. N.

W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— To już mila tylko panowie i zbłądzić trudno, idąc prosto przed siebie, a nam czas udać się w dalszą drogę... — skromnie przypomniał kupiec. Wręczono mu natychmiast sumkę obiecaną, a słoń, pies i dwóch ludzi ruszyli dalej spokojnie.

— Panie kapitanie, czy możemy biedz? powinniśmy być już daleko... — nalegał Wilko.

— Ach, ach, bodaj czy nie zaczynam rzeczy rozumieć — mruknął kapitan, patrząc za kupcami — słyszałem przed chwilą kilkakrotnie wyrazy dzikich, odnoszące się do córki sułtańskiej; nie pojmowałem tego, a teraz mam prawie pewność, że ci biedni kupcy turecy mimowoli obecnością swą między nami potwierdzili tę pogłoskę. A może ktoś dowcipniejszy od innych rozpuścił umyślnie wśród dzikich pogłoskę, że panna Mac-Ulm jest córką jakiegoś sułtana, co znaczy u nich wielce bogatego władcy, przeto tak ją ściśle pilnują, licząc na niezmiernie z jój sprzedaży lub okupu sumy. Cokolwiek jest, dziatki!... idziemy dalej!

Ruszone więc niezmiernie przyspieszonym marszem, wypytując jednocześnie „fortepianistę”, który po kilku dniach wygody i posilnego żywienia, szedł już teraz o własnej sile z głową dumnie wzniesioną, z zegarkiem na uchu. Trzój służy indyjscy zniechęceni, wlekli się ostatni.

— Hm, generał Mahora i jego sztab coś na seryo chcą brać generalstwo... — mruzczał młodziutki kapitan, patrząc na nich z pod oka.

— Co to jest za chata w Tungara, ciemna i o grubych bardzo ścianach z gliny i kamienia, daleko mocniejszych niż

macie zwyczaj budować, ta chata w której więziliście białą dziewczynę i białego chłopca? — zapytał, zwracając się do fortepianisty.

— To chata starego Kumasy; to mądry wódz; cała Tungara go słucha. Ma on w północnej stronie za miastem gdzie panowie mieszkają w końcu wsi waszój, dwie chaty, dużą i małą; w dużej sam mieszka z rodziną, a w małej trzyma w zamknięciu gdy kogo uwięzić należy i pilnuje go, bo on jest wódz!

— Aha, a więc ta mała chata służy zawsze za więzienie; zatem i białą dziewczynę doprowadziwszy teraz do Tungara, zamkną tam?

— Tak, bo z każdej innej łatwiej byłoby uciec.

— Plan nasz jasny jest w takim razie: trzeba zająć cicho do wsi od strony północnej, otoczyć chaty Kumasego i uwolnić pannę Mac-Ulm. Jeżeli zaś nie udało się to zrobić cicho i niepostrzeżenie, jeżeli zbrojnie zechcą jej bronić, będziemy walczyć.

W pół godziny po tej rozmowie, idąc ciągle mocno przyspieszonym krokiem, mimo straszego upału, ale na szczęście lesistszą już okolicą, ujrano z daleka coś podobnego do gromady kretowin, rozpierchniętych na dosyć rozległej przestrzeni. Dalej jeszcze wśród ogromnych kęp zieleni widniało kilka pałacików, willi, a raczej ich szczątki, pozostałe po ostatnich wypadkach. Mahora, Wilko i Rahib dziwnie skrzywieni i milczący, wypełniali komendę zaledwie powstrzymując oznaki niechęci.

— To siedziby Europejczyków, a tamto wieś tuziemców, fortepianisto prowadź ostrożnie; tak, abyśmy o ile można zbliżyli się nie widziani do mieszkania Kumasego! — mówił kapitan — orientując się z łatwością, pomimo że nigdy tu nie był.

— Za pozwoleniem — rzekł Carré — jeden okrzyk tego fortepianisty, któremu ufać nie mamy żadnej przyczyny, może nas zdradzić i całą sprawę zgubić, dziwię się, że Mahora na to nie zważa — mówiąc to, zawiązał fortepianista usta chustką, aby nietylko krzyzczeć ale i pisać nie mógł, lecz zmuszony powiódł ten mały zastęp, znanymi sobie wśród skał, urwisk, zarośli i rozpadlin, ścieżkami. Wyszedłszy wreszcie z tych zakątków, ujrzeni przed sobą tuż jak na dłoni, dwie chaty, dużą i małą, a dalej całą indyjską wieś, z kilku europejskimi budowlami w głębi krajobrazu.

Mahora spojrział na Wilka, Wilko na Rahiba i każdy podrapał się w ucho albo ramionami wrzuszyl.

— Tak, to taż sama chata, z której uciekłem, wydrapawszy dziurę w ścianie — powiedział Wiliam.

Pozostawało teraz otoczyć tylko chatę i zabrać Klarę. Ale... gdzież pewność, że Klara tam się znajduje?... Prócz tego w całej wsi i okolicy panowała taka głucha cisza, taki uderzający spokój, jakby wcale tam ludzi nie było. Zdziwieni wędrowcy spoglądali to na milczącą wieś, to wzajemnie na siebie, to znów na indyjskiego chłopca, na którego twarzy malowało się nie mniejsze niż na innych zdumienie. Trzej tylko służący Indyanie gniewni i zmartwieni nie dziwili się wcale.

— Czy podobna przypuścić aby ci dzicy nie zdążyli jeszcze tu powrócić, gdy my już zdołaliśmy przybyć?... — myślał każdy, ocierając pot, strumieniem spływający po twarzy — co prawda pędziliśmy jak zające, ale przecież oni to jeszcze lepiej biegać umieją.

— Ha, bądźco bądź nie możemy stać bezczynnie; jedyne możliwe przypuszczenie jest, że Indyanie, wróciwszy zwyczajem swoim, zdążyli się już uspić. Cicho więc i zwolna otoczyć trzeba dwie chaty Kumasego! — zakomenderował kapitan.

W ciągu trzech minut spełniono rozkaz przy ciągłem niepojętem ze strony nieprzyjaciół milczeniu, następnie wyparto drzwi małej chaty, potem dużej, a dalej wszystkie inne zwiedzono dowolnie, gdyż wszędzie zastano pustkę, w całej Tungara i okolicy nie spotkano żywego ducha, ani najmniejszych zapasów żywności, ani żadnej rzeczy, któraby komukol-

wiek na cośkolwiek przydać się mogła; nawet na ognisko, lepianki te ziemne i kamienne, nie dostarczyły materyału. Pomimo całego pozornego niepodobieństwa, trudno było nie zrozumieć teraz, że Indianie nietylko zdążyli już tu przybiedz, ale zdążyli także zabrać dzieci i całe rodziny, zwierzęta domowe, zapasy i całe swe niezbyt obficie co prawda zaopatrzone gospodarstwo i uciec z tem wszystkim w niedostępne kryjówki. A wszystko to zdążyli uczynić podczas gdy Europejczycy pędzili wedle własnego mniemania „jak zające”, mając też samą co i tamci do przebieżenia przestrzeń. Strach, który im skrzydeł dodawał musiał być wielki, a skrzydła te lotne, kiedy nawet młody Indianin zdumiony był. Dowodziło to, że poprzednie dwa z Europejczykami spotkania ciężko dały się złoczyńcom we znaki, jeżeli tak stanowczo unikali trzeciego. Pochlebne to było dla małego oddziału improwizowanych wojsaków; ale pominąwszy tę chlubną stronę rzeczy, sprawa cała komplikowała się straszliwie.

Zachodziło pytanie, co teraz począć?... Z pytaniem tem na ustach i załamaniem rękami stanęli wszyscy bezradnie, wśród bezładnej Tungary, spoglądając na się wzajemnie z rozpaczą prawie. Trudne w istocie było położenie. Mac-Ulm tracił córkę z oczu zupełnie tym razem, bo dzicy wynosząc się tak ze wszystkim z siedzib swoich, dawali tem poznać, że wracać do nich nie myślą, gdzież więc teraz szukać należało nieszczęsnego dziewczęcia, któremu jeżeli oszczędzała życie mniemana godność sułtanka, czyli nadzieja ogromnego za nią okupu, to z drugiej strony, taż sama nadzieja okupu, czyniła ją zbyt pożądanym dla Indian łupem, aby nie mieli tak jak i dotąd strzedz jej dalej usilnie przed poszukującą ją rodziną. Szukać wiatru w polu na jednoby wyszło co szukać Klary, uniesionej teraz przez dzikich w głąb lasów i przepaści, tak właśnie jak okrutny tygrys unosi porwane od stada jagniątko. Niemniej straszne było położenie kapitana Lory, który z zaciętymi ustami i błędnym wzrokiem, prawie niepodobny był w tej chwili do trzpiotowatego troszczkę choć zawsze dzielnego „ojca“ starych wilków morskich z parowca „Almaviva.” Zdolny, odważny, pracowity i zacny chłopak, niezmiernie młodo skończywszy nauki, potem odznaczając się temiż przymiotami na każdym stopniu, został troszczkę zawczasie może dowódcą okrętu. Czyniło go to wprawdzie ulubieńcem jego starych „dziątek” ale narażało czasem na straszne chwile, takie właśnie jak obecna, gdy rozum przejrawszy nagle potępił to, co uczyniła płochość młodociana, przebrana w maskę zacnej waleczności, bohaterstwa nieledwie. Opuszczając pokład swego parowca, kapitan Lory sądził że nieobecność jego chwilową tylko będzie, a powróci szczęście dwom rodzinom, dzieci, dwom zrozpaczonemu starcom. Potem, okoliczności pociągnęły go dalej niż zamierzył, a oto teraz stawał przed sądem własnego sumienia i honoru, pod grozą ostatecznej hańby jako żołnierz opuszczający samowolnie szereg, dowódca sprzeniewierzający się obowiązkom, kapitan opuszczający pokład, którego żywemu opuszczać nie wolno. Czyliż teraz powinien porzucić wszystko i wracać ze swoimi na okręt?... wracać, pogorszywszy o wiele butną nierozwagą sprawę dwóch rodzin, którym ofiarował się z pomocą. Poczucie honoru wojskowego, obowiązku, i próżność, a także uczciwa ludzkość, szarpały w tej chwili okrutnie sercem biednego kapitańka, przypominającego sobie ze wstydem, jak

przed godziną czy dwoma posadzał o takąż najędzniejszą próżność Mahorę i Wilka, gdy ci usiłowali nagle go do śpieszniejszego pochodu, znając Indian lepiej niż on, a on sądził że Mahora chce przywłaszczając sobie prawa dowódcy.

— Przyjacielu — rzekł Mac-Ulm do Thorna — proszę cię, rozdzielmy losy nasze dopóki czas... dopóki nieszczęście które mię ściga, nie upłaje i ciebie w zdradne swe sieci: oto posiadłości twe, dom i budynki, zniszczone lecz dające się jeszcze odbudować, oczekują na właściciela, masz twoje dzieci i wiernych służących; złoczyńcy uciekli i podobno nieporządki nie powtórzą się już w tych stronach, bo ruchy wojsk zasłonią je natychmiast, wedle wiadomości z Kalkuty, przed kilku dniami nas doszłych na parowcu, zostaną tu w zdrowiu i rozpoczynaj na nowo życie przerwane!...

— A ty?

— Ja?... przecież muszę szukać mego dziecka...

— A widzisz!... jakże więc mam w domu zostać, kiedy wiesz dobrze że oddawna przestaliśmy robić różnicę pomiędzy naszymi dziećmi: Klara moją także jest córką, będziemy szukać jej obadwaj.

(d. c. n.)

Zagadka homonim.

Trzykrotnie w postaci męża uczonego,
Słyszałem wśród ziomeków z tego i z owego,
Znajdzie mnie na niebie, znajdzie i na ziemi,
Między przedmiotami w handlu niezbędnymi,
Wreszcie z kształcie rzeki,
Niechże mi kto powie,
Kim, czem byłem, jestem, słowem jak się zowie?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Szarady:

Czarnogóra.

Łamigłówki sylabowej:

1. Krasnyj. 2. Oaza. 3. Człowiek. 4. Helsingfors.
5. Aszanti. 6. Jenikale. 7. Bób. 8. Lodi. 9. Izere. 10. Zeus.
11. Natalia. 12. Izium. 13. Erie. 14. Głóg. 15. Orinoko.

Kochaj bliźniego jak siebie samego.

Zakład gimnastyczno-wychowawczy H. M. Kaplińskiej. — Wilcza N. 6. Zapis całodziennie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Obrazki z Ziemi Świętej (z drzew.) — Na zamku wieszczki p. Halinę Tokarzewską. — Bryła marmuru, wiersz p. T. N. — W Indyach. Dodatek: Modlitwa wieczorna, wiersz, p. T. N. (z drzew.) — Grzeczny Julek p. Henryka Wernica. — Granaty. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



MODLIWA WIECZORNA.

Jezu Chryste, Pasterzu łaskawy,
Do paciorka idziem od zabawy;
Choć oczyma nie widzimy Ciebie,
Wiemy przecież, że jesteś na niebie.

Twoje kwiaty są, pola i góry,
Twoje morza, i gwiazdy i chmury,
Lecz choć Królem Ty jesteś wszech rzeczy,
Drobną dziatwę racz w Swojej mieć pieczy.

Królem dzieci Jesteś, Dziecię Boże!
Więc nad nami w każdej czuwaj porze.
W jasny dzionek, czyli też w noc ciemną,
Jak brat dobry, straż trzymaj nademną.

Ty nas naucz, jak miłować cnotę,
Ty do złego powściągnij ochotę,
Ty od strachu tarczą bądź jedyną,
Królu świata, wszechmocna Dziecino!

T. P.

Grzeczny Julek.

Julek otrzymał na imieniny latawca, piłkę i wolanta. Była to prawdziwa dla niego niespodzianka! Bawił się temi zabawkami ilekroć mu pozwalano, ale najbardziej się z nich cieszył dla tego, że będzie miał czem się bawić z innymi chłopcami.

Pewnego dnia dowiedział się, że w niedzielę odwiedzi go kilku towarzyszy.

Kiedy przybyli, Julek udał się z nimi do ogrodu, gdzie przez niejaki czas wszyscy wspólnie bawili się wybornie w żółnierzy.

Wtem powstał wiatr.

— Julku — zawołali towarzysze — przynieś latawca, przy tym wietrze, latawiec wzniesie się ponad domy!

— Ach prawda! — zawołał Julek i czemprowadź pobiegnął na schody.

Wkrótce wszakże wrócił bez latawca, mówiąc: — Nie przyniosłem latawca, bo leży w pokoju, w którym ojciec drzemie, a przecież nie wypada żebym go obudził.

— To przynieś piłkę — zawołali chłopcy. — Piłka to doskonała zabawka!

— Ach prawda! — zawołał znów Julek — możemy się bawić w mety lub inne gry. To mówiąc pobiegnął do domu, lecz niebawem powrócił nic nie przynosząc.

— Nie mogę przynieść piłki — zawołał Julek — mama schowała ją do komody a teraz ma gości.

— To przynieś przynajmniej wolanta — zawołali chłopcy z niezadowoleniem.

— Macie słusność, wolanta, dobrze się zabawimy zaraz go przyniosę.

Poraz trzeci Julek pobiegnął po zabawkę i poraz trzeci powrócił z pustymi rękami.

— Nie mogłem przynieść wolanta — zawołał z daleka — siostrzyczka moja nim się bawi, gdybym go chciał jęj odebrać, płakałby zaczęła.

Na te słowa rozgniewali się jego towarzysze i zawołali:

— Wstydź się Julku! w niczem nie umiesz sobie poradzić.

Ale Julek odpowiedział spokojnie:

— Czemu się na mnie gniewacie? wszak nie mogłem budzić ojca, przeszkadzać matce i pobudzić do płaczu małą siostrę moję.

Henryk Wernic.

GRANATY.

— Mamo, mamó — wołała Jadzia — Staś mówi, że granaty to są kule armatnie.

— Albo co? — pytała mama.

— Przecież granaty, to owoce — śmiała się Jadzia — Staś o rok odemnie starszy i nie wie o tem.

— To też dla tego, że jestem starszy, wiem lepiej od ciebie co znaczy granat — bronił się Staś.

— Mama nas rozsądzi — dodała Jadzia.

— Otóż nie spierajcie się, bo oboje macie słusność — zawyrokowała mama.

— Jakto? Jakto? — zapytały razem dzieci.

— Bo kule armatnie nazawają się granatami — odparła mama — a przytem w południowych, ciepłych krajach rośnie drzewo, które też granatem nazywają. Wreszcie pokażę wam kamień przezroczysty, ciemno ponsowy, który także nosi nazwę granatu.

— Ach prawda! — zawołała Jadzia — widziałam ten granat u mamy w broszce, myślałam z początku, że to czerwone szkieleko oprawne w złoto, a wtedy mamusia odpięła od stanika broszkę i dała mi ją do ręki, mówiąc: to nie jest czerwone szkieleko, ale kamień, którego głęboko w ziemi szukać trzeba i który nazywamy granatem.

— A gdzież ty ten owoc granat widziała? — spytał Staś.

— U babci w Warszawie. Raz poszłam z babcią na spacer i zobaczyłam w jakimś sklepie z owocami, duże, bardzo duże żółte jabłko. Tak mi się podobało, że babcia weszła do sklepu i kupiła je. A gdy wróciliśmy do domu, służąca babci rozkładała je na pół, i wyobraź sobie Stasiu, że w środku były same spore ziarnka jakby oblepione czerwoną galaretą z sokiem. To co wzięłam za jabłko było granatem. Babcia powiedziała mi, że należy odrzucać ziarnka i zjadać tylko galaretę i sok. Pyszne, mówię ci, trochę kwaskowate, bardzo smaczne. A skóra granatów twarda, no tak twarda jak naprzykład... — Tu Jadzia zastanowiła się chwilę... — jak skóra na bucikach, — dokończyła. — Ale teraz ty mi powiedz, gdzie widziałeś twoje kule armatnie?

— Na obrazku, ojciec mi je pokazał.

— A czy wiesz, Jadziu, jak wygląda drzewo które daje te smaczne owoce? — zapytała mama.

— Nie wiem, mamusiu.

Mama opowiedziała dzieciom, że granaty, są to spore drzewa, o drobnych ciemno-zielonych liściach; kwiaty kształtem przypominają gwoździki ogrodowe, i zabarwione są ślicznym czerwonym kolorem.

— A więc oboje mamy słusność — zawołała Jadzia. — Jak to dobrze Stasiu, bo już zanosilo się na sprzeczkę między nami.

A. M.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. A. DO.

Była sobie jedna mama... lepiej przyznam się od razu: jest sobie jedna mama, która ma czworo dzieci. Najstarszy Jerzy trapi się nad matematyką i łaciną w pierwszej klasie gimnazyalnej. To też na wszystkich jego zeszytach, książkach, a nawet o zgrozo! na ścianach i drzwiach dziecinnego pokoju roją się najrozmaitsze łacińskie wzniosłe sentencje, przypominające mamie, że syn jęj zaczyna kroczyć po drodze mądrości i cnoty.

Siedmioletni Staś pełen uwielbienia dla brata i wiary w jego wyższość umysłową (co nie przeszkadza do zapalczywych utarczek codziennych) uprawia niwę ojczytstėj mowy, ucząc się polskich wierszyków i pisząc zadania nader głębokiej treści. Helenka trzecia z rzędu, wesola i swobodna jak ptaszek, pędzi dotąd życie bez-

czynne; łatwo odgadnąć wiek młodej osoby... Helenka nie ma jeszcze lat pięciu. Od kilku dni jednak jakieś czarne chmury zaczynają się ukazywać na horyzoncie: Mama kupiła duży kawał kanwy, grubą igłę i kilka pasek wólczki niebieskiej i różowej. Z tych danych i z kilku słów mamy do cioci, Helenka ucuwa pewne podejrzenia. Bawiąc się w szkołę z Jerzym, Stasiem i dziećmi cioci, Helenka sama nie wie kiedy nauczyła się wszystkich literek; otóż wczoraj rano, na toalecie mamy zjawiała się niespodziewanie ślicznie oprawna książka. Gdy ją dzieci spostrzegły, mamy właśnie nie było w pokoju, Staś jako w sztuce biegły, przeczytał tytuł: „Arka Noego!” i z małym biciem serca (gdyż w pokoju mamy nic ruszać nie wolno), zajrzał ostrożnie do środka.

— Helenko! Abecadło z obrazkami!—Mama w tej chwili wróciła z kuchni... wszystko w porządku, książka leży na swoim miejscu, dzieci się bawią spokojnie... tylko Helenka coś posmutniała: Arka Noego, to druga chmurka na jej pogodnym niebie. Życie pracy rozpocząć trzeba.

Mówiłam na początku, że ta mama, ma czworo dzieci. Gdzież czwarte?

Oto jest: Marynia, tłusty, czerwony klocek, od kilku dni skończywszy pół roku, rozpoczęła męczącą naukę jedzenia kaszki łyżeczką i siedzenia na kanapie, bez wyraźnej pomocy swój nieodstępnej Hanusi.

Dzieci te prawdopodobnie niczem się nie różnią od tysiąca dzieci w ich wieku i położeniu; mama jednak wyobraża sobie, że Bóg wyjątkowo je uposażył pod względem zdolności i przymiotów. Że są nieładne, to niestety biedna mama przyznaje pocichu; ale... nim wyrosną, ileż razy odmienić się mogą na korzyść! Wszak mają śliczne oczy, pleć delikatną, i miły wyraz twarzy. Ach wyładnieją, wyładnieją! A tymczasem tak są zabawne, tak nieraz uśmieć się można słuchając ich konceptów i dowcipów! Właśnie te codzienne ich rozmowy, śmieszne uwagi nad tem co słyszały, a czego nie rozu mają, zabawy przerywane kłótnią a nawet pojedynki zawzięte, wszystko jedným słowem co mówią, robią, czém się bawią, będzie treścią opowiadania mamy.

ROZDZIAŁ I.

Poranek. — Korsarze. — Dobry król. — Obiad.

Ogólne wstawanie. Jerzy kończy się ubierać, bo przed ósmą ma być w szkole, Staś, wielki czciciel Morfeusza otwiera jedno oko: Ach Boże! całą noc takie mi się okropne, przedpotopowe zwierzęta śniły, ledwie nad ranem trochę się te mamuty porozchodziły, a tu Wiktusia już budzi... Wy chyba chcecie żebym ja umarł!

— Helenko! — woła Wiktusia (ex niańka Jerzego, a teraz mentorka młodszych dzieci przy ubieraniu) — czego tak nudzisz, wiesz jak mama lubi, raz, dwa, trzy i uciekać z łóżka nie medytować.

— Aha — dobrze Wiktusi mówić, a mnie się pończochy pomieszały i teraz nie wiem, która na prawą nogę.

— Ależ to wszystko jedno — tłumaczy Wiktusia.

— A dla czego Jerzy mówił wczoraj, że Henryś mądry jak but z lewej nogi? a widzi Wiktusia! Aha!

— Widzę z boleścią moja miła siostró, że śmiało

możesz być parą dla Henrysia. Moje uszanowanie panie prawej pończosze! Idę już do szkoły!

— Ty Jerzy szkaradniku! Zawsze mi dokuczasz, ja doskonale zrozumiałam coś teraz powiedział, poczekaj! jak się mama dowie, że ty takie głupstwa pleciesz... to zobaczysz!

Jerzy jednak wykręciwszy się na pięcie dał dwa susy i już go niema.

— Stasiu, Stasiu, bo doprawdy pójde mamę poprosić! Tyle razy budzę, a ty ani myślisz wstawać. Szkaradny leniowiec!

— O Boże mój! — lamentuje Staś — taki jestem niešťczęśliwy, wszyscy mi dokuczają, hi hi, na złość robią, hi hi hi.

— Płacz bekasie, jeszcze z łóżka nie wyszedł, a już rycesz, a wczoraj mówiłeś, że chciałbyś być królem...

— No to co? Albo to królowi nie chce się spać? A jak jest mały, gdy go budzą to płacze...

— Co dzieci chcą na śniadanie? — zapytała Wikcia idąc do samowara, który od kwadransa głośnem mruzeniem dawał znać, że jest gotów na usługi. — Kakao kawę czy herbatę?

— Mnie wszystko jedno — odpowiedział Staś; — I mnie także — zawtórowała Helenka.

(d. c. n.)

SZARADA 2-ga.

Dla Cyganezki z nad Wisły, od Sarenki z nad Moroczu.

Pierwsze wspan, wśród kart znajdziecie
Drugie, najwytrwalsze w świecie,
Zwierzę, łagodne z rogami
Jest między Lapończykami;
Trzecie się wśród liter znajduje
A więc niech Cyganezka zgaduje.

Łamigłówka zegarkowa.

Od Niezapominajki z nad Warty dla Stasia P... z Turku.

M

Ułożyć dwanaście wyrazów pięciogłoskowych w kształcie zegarka, zaczynających się od lit. M.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Jezioro w Afryce południowej. 3. Stopień wojskowy. 4. Rodzaj broni 5. Wielki obszar wód. 6. Owoc. 7. Ludzie nieznośni. 8. Napój. 9. Miasto w gub. Łomżyńskiej. 10. Rzeka wpadająca do Cisy. 11. Człowiek pokazujący sztuki. 12. Przymiot poznawany zmysłem czucia. Końcowe litery utworzą nazwisko powieściopisarza i dramatyka polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Szarady:

S a h a r a .

Łamigłówki kwadratowej:

s o S n a
r z E p a
S E R C E
c e C h y
r z E k a

Skrzynka do listów.

P. Sobes... mu we Friedebiegu. Numera żądane posłaliśmy wraz z dodatkiem gratisowo; prosimy tylko przy okazji o zwrot kosztu przesyłki, który wynosi kop. 20.

Gazeli Tatrzańskiej w Jegorowicach. Kronika Rodzinna będzie pismem zupełnie odpowiednim dla *dorosłej* siostry, która już Wieczory czytywać przestaje.

Korespondencję naszą z tego tygodnia zaczynamy od zapewnienia, że życzenia **Sosenki, Zorzy, Gosposi z Podola**, (której niedługo już sama Gołąbka odpisze) **Ukraińki na Mazowszu**, zostaną spełnione.

Zorzo droga, dlatego właśnie tak nam są miłe twe liściki, że piszesz to co „myślisz” widzimy co myślisz, co czujesz, co za ideały sobie stawiasz i do jakich celów dążysz... To więc nie pochwała, to proste uznanie za dobry kierunek jakim cię poprowadzono, zanim samodzielnie iść nim zaczęłaś... Szczyście Boże!

Niezapominajce z nad Jabłoni serdecznie życzymy jak najprędszego polepszenia. Wieczory wysyłać będziemy pod wskazanym adresem.

Ukraińka na Mazowszu nie myli się: jej to „Terenie” mieliśmy na myśli.

My z kolei zapytujemy ciebie **Kuropatewko z nad Warty** jak nie kochać takich pocziwych dzieci? Trzebaby chyba być „złą” a tak brzydkiego przydomku, któżby się z całych sił nie wystrzegał? Liścik bierzemy pod opiekę.

Ułanko, nie wprawę i umiejętność, ale dobrą wolę cenimy przedewszystkiem.

Niezapominajko z nad Warty tak tobie jak w ogóle młodzieńskim kandydatom i kandydatkom do zaszczytów autorskich radzimy jak najwięcej pracy i jak najwięcej surowości w sądzeniu własnych utworów. Należność za numer otrzymaliśmy. Szarada nie dobrze ułożona: „całość nie będzie w ptaków rzedzie”. To nie ptak, to bajeczne stworzenie.

Złota Pszczółko, nie podobieństwem jest odpowiadać na tego rodzaju pytania. Nie wypada też zdradzać pseudonimów... Zdaje nam się jednak, że takiego jak ten, o który pytasz, niema wcale.

Lilia wodna przysłała pod adresem Gołąbki logogryf, którego wszakże nie umieścimy; niepodobna prawie szukać rozwiązań podanych w języku francuzkim.

Nie, **Niezapominajko z Zacisza**, nie wymagamy adresu w „każdym liście” zażądaliśmy go dlatego, że jest was dwie używających tego samego pseudonimu i nie wiedzieliśmy, z którą mianowicie mamy do czynienia. Już to z „Niezapominajek” kwitujących w naszej Redakcyi możnaby bukiet ułożyć! Niteczka Aryadny wadliwie ułożona, gdyż i w tem trzeba się stosować do pewnych zasad.

Semitka nie powinna brać nam za złe zwłoki w umieszczeniu liścików; tyle ich zawsze zalega z powodu braku miejsca! Za Gołąbkę zaręczycy możemy, że odpisałyby równie „chętnie”.

Cieszymy się, że **Czubatęj Kokoszce** tyle wagi przybyło; to najlepszy dowód pomyslnego skutku kuracyi. Śliczna przysłana nam trawka pokruszyła się w drodze; postaramy się jednak wkrótce na pytanie **Kokoszki** odpowiedzieć.

Kochane czytelniczki **Wieczorów Rodziny**! Zmieniłam pseudonym **Czarodziejki** na **Złotą pszczółkę** i proszę was o rozpoznanie ze mną korespondencyi, a ja chętnie na wszystkie wasze pytania odpowiadać będę. Całuję was serdecznie i polecam się pamięci. Cyganeccze z nad Wisły i Wiedence z **Żywopłotu** uścisnienia przysyłam. *Złota Pszczółka* dawniej *Czarodziejka*.

Droga **Trusiu!** Przepraszam cię bardzo za tak spóźnioną odpowiedź. Omyliłaś się biorąc mnie za kogo innego, gdyż nie mieszkam na ulicy **Bannej** ani w sąsiedztwie **Czarnej Perelki**, lecz z **Hrubieszowa** przenieśliśmy się za **Bug**. Przez **Wieczory** możemy przecież pisywać do siebie o co bardzo proszę. **Prawdę, Światelko** i **Kołowrotek** serdecznie pozdrawiam i zapytuję ostatniej, dlaczego nie odpisuje *Małej Lasce*?

Kochana **Muchołówko!** Odzywam się do ciebie w nadziei że zechcesz odpowiedzieć swęj dobrej znajomej. Gdzie chodzisz na pensyę? pod jakim pseudonimem **Dziudzina** pisuje do **Wieczorów**? Ścisłam cię serdecznie. *Burzliwa Natura*.

Drogi moje **Kalino z nad Dniepru** i **Kwaciarko!** Bardzo wam dziękuję za liścik, który mnie niezmiernie ucieszył; spodziewam się że nie będzie ostatnim. Ale dlaczego nie doniosłyście jak wyglądacie, ile macie lat, co porabiacie? Co do mnie mam 14 lat, jestem jedynaczką i mieszkam z rodzicami na wsi na **Podolu**. Pytacie co mi się najwięcej podoba w „**Wieczorach**”. Wszystko, wszystko bez wyjątku, moje drogie, ale najwięcej „**Szesnastoletni Wojewoda**”. Odpisujcie prędko kochającej *Niezapominajce z Zacisza*.

P. S. **Niezapominajkę z nad Warty, Szarotkę, Wróżbiarkę** szczęścia, **Białą Perelkę, Błękitną Kokardkę, Poranka** majowego i **Blaskawicę** serdecznie całuję, i proszę by do mnie napisały.

Droga **Gwiazdko Jerolimaska!** Bardzo mi się twój pseudonym podoba, napisz mi ile masz lat? Czy mieszkasz w mieście czy na wsi. Czy uczysz się w domu czy na pensyi? Ścisłam cię serdecznie, i proszę odpisz mi czém mi bardzo ucieszysz. Twoja *Ismena*.

Kochane **Pieszczotko z małego ogródka** i **Muszko** brzęcząca! Czy wszystkie kwiatki deszcze u was zniszczyły? bo u nas już zimno. A ty **Muszko** jak wyglądasz w gimnazjalnym mundurku? Chciałabym was zobaczyć. Całuję was serdecznie obiedwie. *Pocieszka rodziców*.

Droga **Artystko!** Mylisz się pisząc że długo każe czekać na odpowiedź, lecz ja dotychczas nie miałam od ciebie listu. **Petersburg** porzuciłam 18-go maja, po skończeniu egzaminów, które zdałam do V-tej klasy tak, że latem nie potrzebowałam męczyć się nauką. A ty **Artystko** czy uczęszczasz do gimnazjum lub na pensyę? *Śpiwna Lira*.

Miły **Barwinku!** Przepraszam cię że tak długo nie odpowiadałam na twoje miłe, a zupełnie nie spodziewane słowa; wypowiedź będą mi najpierw lekcye zajmujące dzień cały, a następnie wyjazd mamy mojej i zdwojone z tego powodu zajęcia gospodarckie. Teraz postaram się odpowiedzieć ci. Podobała mi się bardzo powieść o **Petofim**, a teraz znów żywo pobudziła moją ciekawość „**Druga Matka**”. Na imię mi **Maryja**, co zaś do lat moich niech lepiej pozostaną w tajemnicy. Łączę uprzejme pozdrowienia. *Złota Wierzba*.

Chciałabym z tobą korespondować kochana **Serdeczna Dziewczynko**. Ja mam lat 10, na imię mi **Mela**, mieszkam na wsi, uczę się w domu. Ścisłam cię i proszę o prędką odpowiedź. *Wiejska Dzieweczka*.

Kochana **Wierzbo** płacząca ze **Żmujdzi**. Przeczytawszy twoją odezwę w Nr. 26 „**Wieczorów**”, chętnie ci odpisuję. Na imię mi **Wiktoryja**, jestem już staruszką. Dlaczego obrałaś sobie taki pseudonym. Spodziewam się że nie zostawisz mego liściku bez odpowiedzi. **Nieznana**, lecz kochająca cię *Gospośia z nad Wkry*.